

PION

CENA 50 GR

ROK VII NR 10 (283)

WARSZAWA

12 MARCA

1939 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

JÓZEF CZECHOWICZ — KONTUR „NIETOTY”
OSKAR MIŁOSZ — NIEDOKOŃCZONA SYMFONIA
JAN BRZEKOWSKI — CZAS POETYCKI
ROMAN KOŁONIECKI — KARIERA IGNACEGO NAWROTA
MARIA WINOWSKA — ANTYSEMITYZM WOBEC NAUKI KOŚCIOŁA

STANISŁAW ADAMCZEWSKI

ARTUR GÓRSKI

Niewielu zna literatura polska pisarzy współczesnych, których by długoletnia działalność była tak jednolicie i konsekwentnie, tak nieodmiennie podporządkowana jednemu prawu, jednej zasadzie, — jak widzimy to u Artura Górskiego. Przed laty przeszło czterdziestu, obejmując (wówczas wspólnie z Sewerem) redakcję czasopisma *Życie*, — jako główną zasadę programu zapowiedział „ochronę indywidualności i rodzimości”. Tę zasadę, dwoistą z pozoru, a w istocie — jak zobaczymy — bardzo spoiłą, niemal jednolitą, uczynił Górski fundamentem całościowej swojej działalności pisarsko-wychowawczej; działalności, urabiającej umysły niejednego już pokolenia w Polsce.

I śledząc drogi tego oddziaływania, jesteśmy świadkami dość rzadkiego zjawiska we wzajemnych stosunkach pokoleń: ten dzisiaj blisko siedemdziesięcioletni pisarz doskonale rozumie się i porozumiewa z młodzieżą; a nawet — z każdym nowym jej zastępem, wkraczającym w życie kulturalne narodu, jakby coraz żywsze i bliższe staje się to porozumienie Górskiego.

W niezwykłym tym zjawisku niejedno tłumaczyć może przyrodzony dar pisarski, sugestywny artyzm słowa, lecz nadto — zniewalający jego rzetelnością. Toteż nie-równie więcej tłumaczy wywierany na młodych czar niezwykłego charakteru, wyrażający się i w samym pisarstwie Górskiego i poza nim. Naprzód — jakaś prawie nieomylna, jakby instynktowna czujność i trafność osądów moralnych, gdy chodzi o ludzi i rzeczy. A gdy chodzi o siebie samego, twarde obojętność dla popularności i rozgłosu, uparte trzymanie się na uboczu, nieustępliwa bezinteresowność pobudek pisarskich, a zawsze jakaś, źródłana jakby, schludność w sposobie myślenia i pisania. Ponadto — w myśleniu tym i pisaniu — jeszcze coś niepowzedniego.

Przy długoletniej uprawie zawodu pisarskiego zagraża zwykle pisarzowi pewnego rodzaju katastrofa zawodowa: wytwarzająca się zwolna maniera. Nie tylko maniera stylistyczna — w doborze i układzie słów, w ich rytmie i tonie; ale i stanowiąca podłoże tamtej — pewna maniera psychologiczna: jednostajny zawsze sposób reagowania na zjawiska, rejestrowania ich i sądzenia. Szczególnie zagraża to typowi pisarza-moralisty jak Górski; pisarza, który o zjawiskach umysłowej kultury, indywidualnej i zbiorowej, o zagadnieniach historiozoficznych i społecznych — wypowiada się nie tylko krytycznie, lecz i normatywnie, rozważając je — jak właśnie Górski — ze stanowiska ciągle tych samych założeń, trosk czy niepokojów, osądając je zawsze i nieodmiennie tym samym — choć bardzo wyczulonym — systemem miar i wag.

Otóż, jeśli zacząć od tej widomej, podpadającej niejako pod zmysły, to jest stylistycznej powierzchni pism Górskiego (powierzchni, mającej oczywiście swoje korzenie w najwewnętrzniejszym podglebiu du-

chowym), — to skłonność do manieryczności pisarskiej była u Górskiego zawsze bardzo silna. Wzmogła się była szczególnie w atmosferze literackiej okresu młodopolskiego, sprzyjającej hieratyzmowi, niemal celebrującemu sposobowi pisania, jaki cechuje książki Górskiego sprzed lat trzydziestu i dwudziestu (*Monsalwat* i *Ku czemu Polska szła*). Maniera ta mogła ustalić się z wiekiem, zastać się niejako, skostnieć. A jednak pisarz ustrzegł się tego. W późniejszych swoich książkach, zwłaszcza w ostatniej (*Niepokój naszego czasu*) osiąga coraz to większą prostotę wyrazu, ową o głębokim uroku ważką i pełną prostotę; ważką i pełną od zasobu i zakresu treści, z całą surowością i powagą wewnętrznie przetrawioną.

To wrażenie nieustającej świeżości i pió-

ra i myśli Górskiego pochodzi niewątpliwie stąd, że pisarz nawet na krótko nie zniechęcił się do siebie, nie zatrzymał się w rozwoju. Zachowując ciągle tę samą żarliwość w swych nieodmiennych umiłowaniach, ogarniał coraz to szerszy krąg zjawisk, już nie tylko tych górniejszych i trwalszych, ale i powszednich, potocznych, zmiennych. Coraz to szerzej, równiej i wyraziściej układał w sobie proporcje ich wzajemne, perspektywy i związki. Coraz to śmielej, jawniej a zawsze nieprzejednanie walczył o ochronę, o ocalenie przed niebezpieczeństwem lub groźbą zagłady dla tych wielkich wartości, które był umiłował od wczesnych lat.

Jakichże to wartości? Dobitnie i zwięźle określa je właśnie przytoczona na początku formuła z młodzieńczych artykułów Gór-

skiego w krakowskim *Życiu*. Zasięg jej zastosowań rozszerzył się z czasem i pogłębił, ogarnął wszystkie dziedziny kultury, lecz jej istota pozostała ta sama, tak samo ważką i doniosłą, — ważniejszą ponad wszystko: „ochrona indywidualności i rodzimości”. Ochrona więc tych źródeł, z których czerpie siłę i rozrost kultura zbiorowa narodu, z których — przy współdziałaniu tradycji humanistycznych i chrześcijańskich — poczyną się wszystko, co w tej kulturze jest cenne, zdrowe i trwałe, wszystko, co w wyniku stanowi o sile narodu zarówno odpornej jak twórczej, o wartości i oryginalności jego wkładu i udziału w dorobku kultury powszechnej. I właśnie na gruncie świadomej i silnej kultury rodzimej organizuje się i u-macnia indywidualność jednostki. Tak się dopełniają i zespalają we wspólny system dwie te zasady: indywidualności i rodzimości. Stąd — naprzód — konieczność ich ochrony i celowego, świadomego kultywowania. Stąd — po wtóre — potrzeba zrozumienia ich istoty i wzajemnych ich związków.

Obie te sprawy, a właściwie (jak widzimy) jedna, łączna i wielka sprawa — to właśnie nieustanny a niewyczerpany temat książek Górskiego. *Monsalwat*, *rzecz o Adamie Mickiewiczu* — śledzi drogi rozwoju jednostki, dla polskiego duchowego typu reprezentatywnego, śledzi jak w twórczą osobowość o skali światowej zespolili się tu najpiękniejsze cechy plemienne narodu. Książka *Ku czemu Polska szła* usiłuje wykryć, jak w dziejach polskiego plemienia krystalizowała się i manifestowała osobowość zbiorowa, charakter narodowy, jak na tle łączności z kulturą europejską organizowała się na wskroś okeydentalna a jednak samoistnie odrębna kultura polska. Zagadnieniom tworzenia się i rozwoju kultury indywidualnej i kultury plemiennej, wzajemnych ich głębokich związków oraz związków z kulturą zachodu — poświęcone są w przeważnej części dwa zbiory studiów i szkiców: *Na nowym progu* i *Glossy*. Przekładana osobno z pierwszej z tych dwu książek treściwa, piękna rozprawka *Drogi do kultury* zawiera wyznaczenie wiary pisarza, zwięzły wykład podstawowych zasad jego ideologii i jego umiłowań.

Te same wysokiej miary pobudki ożywiają działalność Górskiego przekładową i edytorską. Przyswaja więc polszczyźnie wybrane sagi islandzkie, bo i tam, na obcym gruncie, są mu one świadectwem działania niezmiennych praw kultury: powstawania twórczych wartości moralnych o powszechnym znaczeniu na gruncie narastającej świadomości plemiennej. Czuwa i współpracuje nad zrealizowaniem pomnikowej edycji pism Mickiewicza, najdoskonalszego zespolenia polskości z powszechnością w jednym człowieku. Staje się współwydawcą *Dziela Wszystkich* Stanisława Brzozowskiego, choć dzieła te zawierają niejedną przykrą, do-



ARTUR GÓRSKI

tkliwą lub wręcz obraźliwą opinię o dawniejszych pismach obecnego ich wydawcy. Dawne urazy miłości własnej składa tu pisarz w ofierze dla sprawy, skoro uznał, że pisma Brzozowskiego — w pozytywnej swej treści — mogą być walną pomocą w ugruntowaniu, zrozumieniu i rozpowszechnieniu drogiej jemu samemu idei, zasad, umiłowań. Gdy zaś te umiłowania widzi zagrożonymi, gdy widzi, jak istotnym podstawom kultury znieprawieniem zagraża rozkładający się liberalizm mieszczański, kokietujący z

kosmopolityzmem, z ideą zniwelowania indywidualności narodowych, gdy widzi rosnące we wpływ i siłę czynniki gospodarczego wywłaszczenia i kulturalnego wynarodowienia kraju, — ogłasza Górski w czasopiśmie *Marcholt* szereg śmiałych artykułów w obronie samowiedzy plemiennej, z wezwaniem do czujności kulturalnej, z przypomnieniem istotnego układu i stosunku wartości w kulturze narodu. Artykuły te, zebrane przed rokiem w książce *Niepokój naszego czasu* (książka o treści pełnej dynamiki i ekspan-

sywności mimo jej statycznego i jakby biernego tytułu), — artykuły te, a potem i książka, walczyły przyczyniły się do ocknięcia polskiej świadomości zbiorowej w warstwach kulturalnych.

Toteż niedawno, przed kilku tygodniami zaszły fakt — przyznanie Arturowi Górskiemu państwowej nagrody literackiej, uznać trzeba nie tylko za słuszną uwieńczenie wieloletniej jego oddanej i żarliwej służby pisarskiej w dobrej i wielkiej spr-

wie, ale może też — za jeden z objawów tego, że polski duchowy organizm dźwiga się z długotrwałego stanu zbiorowego bezwładu, otrząsa się z zamroczenia kulturalnej świadomości i zwolna lecz zdecydowanie powraca do zdrowia¹.

STANISŁAW ADAMCZEWSKI

¹) Szkic niniejszy wyłożony był jako odczyt przed mikrofonem P. R.

OSKAR MIŁOSZ

NIEDOKOŃCZONA SYMFONIA

I

Znałaś mnie tutaj mało, pod tym słońcem kary,
Co łączy cienie ludzi, nigdy ludzkie dusze,
Na tej ziemi, gdzie serce ludzi którzy śpią
W ciemnościach podróżuje, w przerażeniu dąży
nad jaki nie wie kraj, nad jaki ład.

To było bardzo dawno — słuchaj, gorzka miłości innego świata —
To było bardzo daleko, daleko stąd — słuchaj dobrze ziemską siostrę moją —
Na Północy rodzinnej, gdzie z wielkich lilii jezior
Bije zapach pierwotny, opar sadów legendy, utraconych stron.

Daleko od wyspy ruin, lian i harf
daleko od naszych gór szczęśliwych.
— Była lampa i stuk siekier w mroku,
Pamiętam.

I byłem sam w domu którego nie znałaś,
W domu dzieciństwa, niemym, ciemnym,
W głębi gęstych parków, gdzie ptak w chłodzie rana
O miłości do zmarłych cicho w rosie śpiewa.

To tam, w tych głębokich, z sennymi oknami pokojach
Mieszkali przodkowie i w ten śpiący dom
Ojciec mój wrócił po długich podróżach
Żeby tu umrzeć.

Byłem sam i, pamiętam,
Była to pora kiedy wiatr naszego kraju
Niesie zapach wilka, moknącego lnu i błotnych traw
I w ruinach nocy piosenkę zawodzi
Jak śpiew Baby Jagi żalosa i złą.

II

Ostatni wieczór nadszedł a z nim gorączka
Bezsenność i strach. I nie mogłem przypomnieć twojego imienia.
Stróż poszedł pewno do plebanii
Bo latarnia ze stolka zniknęła.

Wszyscy nasi dawni słudzy pomarli; ich dzieci
Wyemigrowały; byłem obcym przybysem
W pochylonym domu
Mego dzieciństwa.

Zapach tej ciszy był zapachem zboża
Znalezione w grobowcu; i ty zapewne znasz
Tę pleśń głuchych okolic, siostrę mumij sępich
Rudą jak księżyc pełny i niski nad Memfis.

Długo przebiegałem świat z moim bratem
Bez odpoczynku; czuwałem ze trwogą
We wszystkich obojętnościach tego świata. Teraz
Byłem tu, z głową białą już, jak brat mój obłok. I nie było nikogo.

Echo kroków, dreptanie starej myszy, byłyby mi drogic
Bo to, co pożerało mi serce nie czyniło hałasu.
Byłem jak lampa na mansardzie o świcie,
Jak portret w albumie prostytutki.

Krewni i przyjaciele pomarli. Ty, siostrę moją, byłaś dalek
Niż jasny krąg, w który przyobleka
Mroźny styczeń lunę, matkę śniegu. I ledwośmy się poznali.
Kiedy mówiłaś, drzałem, słysząc głos mego serca.

A spotkałaś mnie tylko raz, raz jedyny
W dziwnym świetle balowych lamp
Między kwiatami nocy, i byli tam dworacy w strojach ciężkich od złota
I powiedziałem żegnaj tylko odbiciu w lustrze.

Samotność czekała na mnie z echem
W ciemnej galerii. Dziecko było tam
Z latarnią i kluczem
Cmentarza. Zima ulic

Zionęła zapachem nędzy w twarz.
Zdawało mi się że idzie za mną moja młodość płacząca;
Ale pod lampą, z Hyperionem moim na kolanach
Siedziała starość: i nie podniosła głowy.

III

Słuchaj dobrze, ziemską siostrę moją. To był dawny niebieski pokój
W domu mego dzieciństwa.
Urodziłem się tam.
I to w tym pokoju

Ukazała mi się kiedyś, w skupieniu wigilii,
Moja pierwsza choinka, martwe drzewko zmienione w anioła,
Które wychodzi z głębokiego i gorzkiego lasu
Które wychodzi rozjaśnione chwałą na głębokościach

Z mroźnego lasu i wędruje samo
Król zaśniewanych moczarów i niesie błędne ognie
Skruszone, uświęcone, pośród milczących, pięknych białych pól:
A oto i złote okna, dom grzecznego dziecka.

Dawne, jakże dawne dni! tak piękne, tak czyste! To był ten sam pokój
Ale zimny na zawsze, ale niemy, szary.
I zapomniał na wieki chyba te wieczory
Gdy ogień głośno grał i świerszcz wtórzył ze szpary.

Nie było już krewnych, przyjaciół ni slug!
Była tylko starość, cisza i lampa.
Starość kołysała serce jak obłąkana dziecko umarłe,
Cisza nie kochała już mnie. Lampa gasła.

Ale pod ciężarem góry mroków
Poczułem jak Miłość, niby wewnętrzne słońce
Wzbija się nad dawne pamiętania kraje
I dalekim, dalekim światem mnie oddaje
Jak kiedyś, w moich pięknych podróżach we śnie.

IV

— „To trzeci dzień“ — I zadrzałem, bo głos
Szedł ku mnie z głębi serca. Był głosem życia mego.
— „To trzeci dzień“ — I nie spałem już, wiedząc że godzina
Modlitwy porannej nadeszła. Ale byłem strudzony

I myślałem o rzeczach, które ujrzę znów; bo oto ku mnie nadbiegał
Archipelag wspaniały, wyspa wewnętrznych mórz
Dymiąca, czysta, co kiedyś zatoneła
Z koralowym grobowcem mojej młodości.

I przypadła do stóp cyklopa z lawy. A przede mną
Na wzgórzu, była baszta, owinięta w liany
Ogrodów raj i aksamitne mchy
Na stopniach wytartych stopami księżycy; a tam, na prawo

Na jasnej polanie wśród lesistych wzgórz
Ruiny koloru słońca! A tam, żadnego już
Skrytego przejścia! Błądziłem w tej tebaidzie
Z moją niemą miłością, pod nocnym obłokiem. Wiem

Gdzie są najbardziej mroczne mury; darń spleciona
Gdzie potrzaskany posąg ukrył swoją twarz
Jest przyjaciółką moją a jaszczurki
Wiedzą od dawna że jestem posłem pokoju, że nigdy nie ozwie się grom

W chmurze mego cienia. Tutaj wszystko mnie kocha
Bo wszystko widziało jakem cierpiać. — „To trzeci dzień.
Podnieś się, oto jestem twoja śpiąca z Memfis
Twoje życie w krainie żywych, twoja śmierć w krainie śmierci.

Mądra i zasłużona“...

Przełożył CZESŁAW MIŁOSZ

ŚMIERĆ OSKARA MIŁOSZA

Oskar Miłosz, znakomity poeta i myśliciel, autor *Miguela Manary*, zmarł nagle dnia 2 marca r. b. w Fontainebleau. Urodzony w 1877 r. we dworze Czereja, gubernii mohylewskiej, pozostawił po sobie dzieła mistyczne i poematy, które były tłumaczone na wiele języków.

Od dziecka wychowany we Francji, pisał po francusku, i słuszenie przyznaje się do pokrewieństwa z nim pewna grupa poetów francuskich młodej generacji. Stał na ubożu ścierających się ze sobą prądów literackich, znany tylko w nielicznych kręgach miłośników poezji. Dopiero w ostatnich latach zaczyna rosnąć jego sława, głównie w krajach łacińskich. Litwa, z którą był związany węzłami osobistych przyjaźni i sentymentu (tłumaczył na język francuski litewskie pieśni ludowe — dainy), pragnęłaby włączyć go do rzędu swoich wielkich postaci. W Polsce niektóre dzieła jego są znane dzięki przekładowi dokonywanym przez współczesnych poetów i wieczorom organizowanym przez instytut Reduty. M. in. w



OSKAR MIŁOSZ

roku ubiegłym Polskie Radio nadało *Miguela Manarę* w reżyserii Juliusza Osterwy.

„PROGRAM ELITARNY” RADIA

Wymyślanie na program Polskiego Radia należy do dobrego tonu. Pochwalić radio, to znaczyłoby przyznać się do prostactwa duchowego. „Nie znoszę radia” lub „nie słucham radia” — to powiedzenia, którymi człowiek dobrze wychowany krótko lecz wyraźnie daje do zrozumienia, że należy do lepszej sfery intelektualnej. Że „nieznoszenie radia” jest w pewnym sensie jednoznaczne z nieznośnością np. Chopina lub Fredry, nad tym nikt się nie zastanawia. Tak już bowiem niestety jest, że sąd o radiu wybredni esteci miejscy wyrabiają sobie na podstawie odczytów o właściwościach obornika, podczas gdy lud znowu grzmi na radio za nadawanie jakichś alegretów i fitelbergów.

Gdy się słucha narzekania na radio ma się wrażenie, że każdy z krytyków przeszedł przez katusze nieustannego słuchania wszystkiego, co radio nadaje. Bo tylko męka przymusowego słuchania rzeczy, których się nie nosi, może usprawiedliwić ton nieprzytomnej nieraz nienawiści, z jaką się mówi o tym „najwspanialszym wynalazku XX wieku”. Nawet ludziom najinteligentniejszym nie da się niestety wytłumaczyć, że nie znalaziono do tej pory sposobu konstruowania takich odbiorników, które by o każdej porze, każdemu słuchaczowi oddzielnie dawały audycję najściślej odpowiadającą jego zamiłowaniu. Przedziwny jest upór, z jakim ci którzy „nie znoszą radia” unikają programu radiowego. Oni chcieliby trafić na ślepo. Wtedy kiedy mam czas, kiedy słucham, powinno być to czego chcę słuchać. A tu akurat: *Na perskim jarmarku* Ketelbeha.

Radio istotnie jest najwspanialszym wynalazkiem XX-go w., niestety, ci którzy z tego wynalazku korzystają, są często barbarzyńcami nie umiejącymi utrzymać się w granicach, wyznaczonych celem, jakim wynalazek ma służyć. Zawsze przychodzi mi to na myśl, ilekroć słyszę te ryczące bestie apokaliptyczne, w które zamieniają aparaty radiowe szaleńcy, torturujący siebie i bliźnich nieustannym dojeniem hałaśliwego eteru. Za dużo słuchamy radia. I to pierwsza przyczyna, dla której wielu słuchaczom program wydaje się zły i nieciekawym. Słuchacz-inteligent z przerażeniem stwierdza, że trzy czwarte programu — to nuda, muzyka płytka, muzyka letka, krakowiaczek cija, starosta przecina wstęgę, obchody, rocznice, audycje dla dzieci, chorych i żołnierzy, itd., itd. Ale przecież w tej powodzi słów i dźwięków, nie interesujących kulturalnego słuchacza, można przy pomocy bardzo prostego urządzenia, zwanego programem radiowym, znaleźć bez trudu codziennie jedną lub dwie pozycje programowe, których posłuchać może elita. Gdyby audycje godne słuchania (mowa oczywiście o „godności” w odniesieniu do słuchaczy bardzo wybrednych) zajmowały tylko godzinę dziennie, byłoby to wcale duże świadectwo kulturalne radia w zestawieniu z ceną biletu wstępu, która w przeliczeniu na dobę wynosi zaledwie 10 groszy.

Krytycy radia niechętnie słuchają argumentów o konieczności dostosowywania programu radiowego do socjalnej struktury odbiorców. Każdy siebie uważa za większość społeczną, a swoje upodobania za powszechne. Jedyny praktycznie możliwy sposób przekonania malkontentów o niemożności budowania programu w oderwaniu od ludzi, którym ma on służyć — to wprowadzenie ich w sam środek roboty radiowej. Dopiero bezpośrednio zetknięcie się z problemami radiowymi przy tworzeniu programu uczy, czym jest radio i jak trzeba się godzić na oczywiste zła mniejsze, by nie dopuścić do większych.

T. zw. podciąganie wzwyż jest niewątpliwym obowiązkiem radia, jednak wykonanie tego obowiązku wiąże się z wyborem pewnego punktu wyjścia, który nie może być zbyt wysoko zawieszony nad ziemią, jeżeli w ogóle pochód wzwyż ma się zacząć. Praktycy radiowi dobrze wiedzą, że najlepsza audycja nikogo nie wzbogaci na duchu, jeżeli nie będzie słuchana. A żeby słuchacza nakłonić do słuchania, trzeba w pewien sposób audycję uczynić dla niego zrozumiałą, czyli zbliżyć ją do jego poziomu. Polując na uwagę swego miliona abonentów z kibicami, radio musi na wędkach zarzucanych w eter przyczepiać więcej przynęt wabiących płotki niż szczupaki.

Jeśli się weźmie pod uwagę socjalną strukturę naszego kraju i przeciętny poziom umysłowy słuchacza, nie można się dziwić że tzw. słuchacz elitarny musi w polityce programowej Polskiego Radia zejść na drugi plan. Z tego jednak nie wynika, żeby jego interesy i pretensje kulturalno-radiowe mierzyć procentowym udziałem w kartotece abonentów. Co to, to nie! W tym wypadku zasada proporcjonalności i demokratyzmu

klóciłaby się z prawami popytu na kulturę. Im słuchacz jest inteligentniejszy, tym jego chłonność umysłowa jest większa; radio więc, aby dać temu słuchaczowi tyle satysfakcji co innym, musi zapewnić mu w programie *stosunkowo więcej* miejsca niż innym. W pewnym sensie przechodzę w tej chwili na stanowisko przeciwników radia. Bo też nie o apoteozę radia mi chodziło, ani tym bardziej o negowanie praw „elity radiowej” do porządnego programu radiowego, lecz o wskazanie że taka krytyka radia jaką się uprawia jest płytka, nie liczy się z koniecznościami społecznymi i do niczego nie prowadzi.

W ramach obecnych możliwości wydaje mi się, że program elitarny można by wzbogacić (nie uszczuplając praw słuchaczy mniej wybrednych, którzy stanowią olbrzymią większość) przez rozszerzenie zasięgu audycji, uznanych za elitarne. Dzisiejsza praktyka programowa sprawia, że wiele cennych pozycji radiowych nie dociera do słuchacza, który właśnie ze szczególną wdzięcznością i zainteresowaniem słuchałby tych audycji. Myślę tu o inteligencji wiejskiej i miejskiej na prowincji. Dotychczas większość audycji elitarnych nadaje się przez tzw. Warszawę II. Jest to stacja o bardzo małym zasięgu, wskutek tego prowincja nie może z niej korzystać. Ciekawsze eseje literackie, wieczory poetyckie, subtelniejszy humor, poważniejsze odczyty naukowe i wreszcie radiowy teatr eksperymentalny, — wszystko to przeznaczają się wyłącznie dla słuchacza mieszkającego w Warszawie czy pod Warszawą, a więc dla tego słuchacza, który znajduje się w sytuacji kulturalnie uprzywilejowanej, ma bowiem możliwość korzystania z kina, teatru, odczytów, bibliotek, czytelni itp. O ile bezpośrednia obserwacja szczupłego grona znajomych może być podstawą do wysnuwania sądów ogólniejszych, twierdziłbym że właśnie słuchacz stołeczny i podstołeczny, dla którego audycje te się nadaje, przeważnie ich nie słucha; natomiast słuchacz, dla którego te pozycje programowe byłyby cenną atrakcją kulturalną, który się rwie do ich słuchania, nie może ich z powodu trudności odbioru Warszawy II złapać. Jednym słowem, sytuacja paradoksalna. W tym wypadku radio przypomina siewcę-dziwaka, który złote ziarno rzęca na piasek i skały, a zręcznie omija urodzajny czarnoziem, dyszący gotowością przetworzenia ziarna w kłos.

Niektóre audycje — te, o których się mówi że wytrzymały próbę mikrofonu — przenosi się z anteny Warszawy II do programu ogólnopolskiego. Ale to oczywiście nie rozwiązuje sprawy — zwłaszcza że przed „wytrzymaniem próby” rozumie się przede wszystkim popularność (względna) audycji. Audycje trudniejsze lub eksperymenty w pewnym sensie nieudane a przecież ciekawe nigdy do prowincjonalnego słuchacza nie docierają. Wydaje mi się, że tę sprawę można by rozwiązać w ten sposób, żeby omawiane audycje elitarnie, skoro już nie ma dla nich miejsca w programie ogólnopolskim, nadawać przez jedną tylko stację ale o dużym zasięgu. Właśnie przez Warszawę I. A program ogólnopolski transmitować w tym czasie na wszystkie rozgłośnie za pośrednictwem Warszawy II. Nie wątpię, że inteligencja radiowa na prowincji przyjąłaby tę reformę z uznaniem i wdzięcznością.

JAN CALIŃSKI

ODCZYT O DYGASIŃSKIM

Odczyt o *Dygasińskim* w naszych oczach wygłosił w ub. wtorek w Związku Zawodowym Literatów Polskich Kazimierz Czachowski.

Z perspektywy współczesności patrząc na osobowość Dygasińskiego, na jej stosunek do epoki, w której autor *Godów życia* wyrósł i w której działał, na elementy jego światopoglądu społecznego i postawy artystycznej — ujawniał zarazem Czachowski nicość, wiążącą Dygasińskiego z czasem naszym. Widzi Czachowski w Dygasińskim jednego z tych pisarzy, „którym ojezyczna świat zamknęła”. Widzi zarazem w postawie społecznej Dygasińskiego i w niektórych jego środkach artystycznych momenty, które obecnie reprezentują niektórzy pisarze chłopscy. Dygasiński pierwszy w naszej literaturze użył gwary ludowej, jako tworzywa pisarskiego. Grubo przed Kiplingiem dawał opowieści o zwierzętach, dalekie od naiwnej antropomorfizacji, a jednak pełne psychologicznego sensu i ważności.

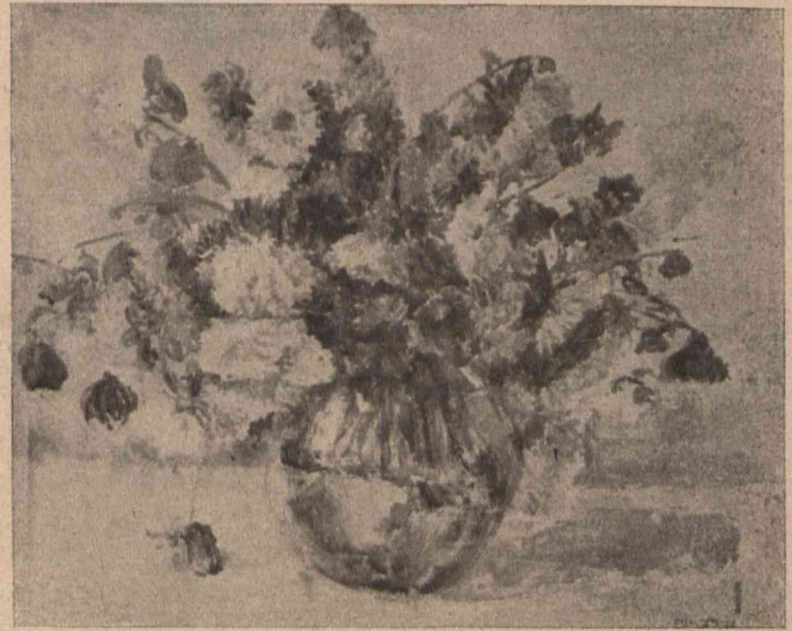
Prelegent dał wyraz przekonaniu, że wiele okoliczności składa się na to, by Dygasiński stał się bliższy dzisiejszemu odczuwaniu. Uważa, że twórczość Dygasińskiego powinna przeżyć w naszej dobie swój renesans.

A. R.

WYSTAWA WYSZATYCKIEJ

Zwyczaj paryski urządzania wystaw w lokalach kawiarnianych wchodzi i u nas w „modę”. W kawiarni „Swan” oglądaliśmy obecnie liczne prace malarskie E. Wyszatyckiej, która po dłuższych studiach nad Sekwaną zapoznaje nas ze swym dorobkiem artystycznym, posiadającym niewątpliwie

Czasy przedkryzysowe zmieniły jednak malarskie oblicze Paryża. Po wyjątkowych talentach „z łaski Bożej” — przyszła niebawem inwazja snobistycznej międzynarodówki pędzla, która po części z winy bardziej ryzykancich „marszandów” dała się porządnie we znaki autochtonom, dbają-



EMILIA WYSZATYCKA

Kwiaty

wszelakie znamiona „paryskiej szkoły”. Liczne krajobrazy z południowej Francji, kwiaty i martwe natury, malowane najczęściej śmiało uderzeniami szpachtli, mogą usposobić widza dla artystki nader życzliwie, jakkolwiek nie stanowią one dokumentu jakiejś poważniejszej fazy rozwojowej u tej malarki i jej swoistego stosunku do formy i barwy.

Cóż to jest bowiem owa okrzyczana „École de Paris”? Zrodzona ze skomplikowanych warunków kształtujących ar-

cym zawsze o istotne ideały sztuki. Przypominać jednak trzeba, że nie wszyscy malarze polscy z młodszego pokolenia dali się uwieść powierzchownej estetyce owej drugorzędnej „szkoły paryskiej”. „Kapiści” np., nad którymi czuwała zawsze głęboka inteligencja prof. Pankiewicza, nie zarzili się żadnymi doktrynami kapliczkowymi, nie wzięli nic z modnych „trueów” technicznych, w intensywnej i mozolnej pracy zdobywając wiedzę artystyczną i obycie w sztuce, których Paryż przy dobrej woli i poważ-



EMILIA WYSZATYCKA

Most w Wenecji

tystyczne oblicze powojennego Paryża — stanowi tam ona coś w rodzaju ideałowego „obozu izolacyjnego” dla przeróżnego gatunku „meteków”, t. j. artystów-cudzoziemców, którzy przynieśli nad Sekwanę marzenia i tęsknoty swego „ghetta” narodowego. Ale obok posmaku swej ojczystej gleby przynieśli tam również owi cudzoziemcy olbrzymi kapitał młodej energii twórczej, która wydała przecież takie przebogate organizacje artystyczne, jak Picasso, Modigliani, Maks Ernst, Soutin, nasz Makowski i wielu innych.

KONRAD WINKLER

ROSYJSKIE KSIĄŻKI

wydane w Z. S. R. R.

LITERATURA, SZTUKA, TECHNIKA, MEDYCYNA i in.

PRENUMERATA CZASOPISM

Ostatnie nowości:

STANISŁAWSKIJ Rabota aktiora nad soboj
MOSKOWSKIJ Chudożestwiennyj Teatr w i-
lustracjach
REJNAK Istoria Iskustw (Apollon)

ZOSZCZENKO Rasskazy 1937—1938
SZACHMATNYJ Jeżegodnik, 2 tomy
KLUCZEWSKIJ Istoria Rossii, 5 tomów
PUZSKIN Połnoje Sobranje Soczinienij

Szczegółowe katalogi według specjalności wysyłamy bezpłatnie

Księgarnia J. STRAKUN, Warszawa, Chmielna 1
róg Nowego Świata

